

Mailem z Krotoszyna Maciej R. Hoffmann



Cudowne rozjaśnianie umysłów

Tak, już 5 lat jesteśmy w Unii. Przypuszczam, że przez najbliższe kilka tygodni polskie media będą z tej okazji odmieniać przez wszystkie możliwe przypadki słowo demokracja. Bo możemy teraz z dumą o sobie mówić: my, prawdziwi Europejczycy. Albo też: my, dzieci europejskiej demokracji.

À propos: co odpowiedzieliby Państwo gdyby ktoś zapytał, na czym opiera się demokracja? Sądzę, że większość respondentów nie miałaby wątpliwości, że podstawą demokracji jest pluralizm. Ponieważ pojęcie to poznałem jako nastolatek przy okazji narodzin „Solidarności” (a zatem w kontrrewolucyjnej interpretacji populistycznych wyrotowców), dlatego na wszelki wypadek sprawdziłem dziś, czy moje rozumienie pluralizmu jest aby na pewno właściwe. Konkretnie – zająłem do niezależnej encyklopedii. No i zgadza się: pluralizm to (cytuję): doktryna polityczna głosząca potrzebę stworzenia warunków ustrojowych do swobodnego ujawniania różnorodnych opinii dotyczących życia zbiorowego oraz (sic! – podkreśl. moje) tworzenia partii, stowarzyszeń itd.

W państwach o długich tradycjach demokratycznych możliwość braku pluralizmu, braku owej wspomnianej w definicji różnorodności, jest na tyle abstrakcyjna, że ludzi wręcz śmieszy. Henry Kissinger, wybitny amerykański polityk – współtwórca polityki odprężenia, współautor pokoju w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie – zażartował kiedyś: Brak alternatywy cudownie rozjaśnia umysł... To ironiczne powiedzenie śmieszyło i przeszło do historii właśnie dlatego, że wygłosił je dyplomata, który sukcesy swoje i swego kraju przez całe życie budował na szukaniu kolejnych alternatyw.

Piszę o tym wszystkim, bo właśnie dostałem pewne zaproszenie. Otóż zaproszono mnie na – tu cytuję – „zebranie rejonu wyborczego pod nazwą lekarze powiatu krotoszyńskiego”. Mam wybrać delegatów, którzy będą mnie przez 4 następne lata reprezentowali.

I tu nasuwa się pytanie. Otóż: czy gdy owi kandydaci zostaną wybrani i gdyby – założmy – owi wybrańcy nie byli przeze mnie akceptowani, to czy ja mogę coś ze sobą zrobić, by mnie nie reprezentowali? Konkretnie: jeśli nie spodoba mi się wynik nadchodzących wyborów, to czy będę mógł poszukać innej samorządowej organizacji lekarskiej, w której delegaci wzbudzą moje większe zaufanie? Otóż nie. Nie mam takowej możliwości. Oto kliniczny przypadek braku alternatywy, o którym wspominał cytowany wyżej H. Kissinger. Ale jakoś nie bardzo rozjaśnia to mój umysł...

Bo co z tego, że będę się zrywał patrząc na przykład, jak reprezentujący mnie ludzie kandydują jednocześnie do władz korporacji zawodowej i do lokalnego samorządu terytorialnego? (To układ dla nich personalnie wygodny, ale z definicji rodzi konflikt interesów. Toteż tacy radni-delegaci po owocnych wyborach potem przez 4 lata i tam, i tu siedzą cicho, nie robiąc zupełnie nic – oprócz reprezentowania. I oprócz kasowania diety radnego, rzecz jasna.) Co z tego,

że będę patrzył, jak nad moją etyką czuwa ktoś, kto (na przykład, wszak rozważamy teoretycznie) sam ma problemy z własnym nałogiem albo z lojalnością zawodową, chciwością czy koleżeńskością? Pewnie nie spodoba mi się taki reprezentant, ale on i tak będzie mnie reprezentował. Gdyż nie mogę go zmienić na innego! Czytaj: nie mogę zwrócić się do innej korporacji. Uniemożliwiają mi to obowiązujące przepisy prawne. A z kolei lekarskie związki zawodowe już z założenia zajmują się zupełnie innymi sprawami (i dobrze).

No to w takim razie (skoro nie mogę zmienić reprezentanta na innego) czy chociaż dano mi możliwość reprezentowania się przez samego siebie? Czyli: czy dano mi prawną opcję uczynienia czegokolwiek, bym mógł zdjąć z barków człowieka, z którego działaniami się nie zgadzam albo nawet tylko – założmy – średnio lubię i nie bardzo poważam (a często *vice versa*), społeczny trud łaskawego reprezentowania mnie? Otóż takiej opcji też nie mam. Zmusza się mnie zatem – tak, właśnie: zmusza! – do pewnych działań; przy czym nie są to działania usprawiedliwione sytuacją *pro publico bono*, jak np. obowiązkiem obrony kraju czy ratowaniem ludzkiego życia. Ani też nie podejmuje się ich w imię stanu jakiegokolwiek innej wyższej konieczności. Po prostu: muszę i już. A przecież teoretycznie jestem wolnym człowiekiem i wykonuję tzw. wolny zawód...

Czyli: są takie dziedziny mojego demokratycznego bytu, w których ktoś kategorycznie narzuca mi, pełnoletniemu obywatelowi, niechcianego reprezentanta. Co z tego, że demokratycznie wybranego przez kolegów, skoro dla mnie osobiście będącego – założmy – nie do przyjęcia, bez możliwości zmiany tego *status quo*, nakazanego przez innych. Pomijam nawet kwestię ściągania obowiązkowych składek na te cele. Bo rozumiem: profesjonalna reprezentacja kosztuje. Ale w takim razie może to ja sam zdecydowałbym, komu chcę przekazać moje pieniądze? Tak samo, jak sam wybieram, któremu płacę prawnikowi, któremu biuro rachunkowemu, firmie reklamowej, informatykowi...

Powie ktoś: trudno, pogódź się z tym, takie są prawa demokracji. Nieprawda! W systemie demokratycznym istnieją furtki – czyli właśnie alternatywy. Nie podoba mi się dana partia? No to nie wstępuję do niej i nie płacę na nią składek. Nie muszę. Mogę być bezpartyjny. Lub, jeszcze lepiej, wybieram partię opozycyjną. Albo wręcz zakładam własną formację. Czy nawet (to już rozwiązanie hardcore’owe) startuję w najbliższych wyborach jako kandydat niezależny – bo nie podoba mi się żadne ugrupowanie.

Jest oczywiście jeszcze wersja soft: siedzę cicho i zgadzam się na wszystko. Ale gdybym ją preferował, to nie stukałbym teraz w klawiaturę komputera. I nie zastanawiał się, czy aby na pewno ten tekst ukaże się na łamach biuletynu. Reprezentującego przecież także mnie.

25.04.2009 r. (czyli przed wyborami)